



Tomasz Jaskułowski

# Garbaty do historii

III edycja konkursu

*Jelenia Góra i ziemia jeleniogórska we wspomnieniach mieszkańców*

Jelenia Góra 2021

## **„GARBATY DO HISTORII”**

Leżę na świeżo skoszonej trawie. Pod głową mam twardą, brudną piłkę. Boli rozdarte kolano, z którego dopiero przed chwilą przestała lecieć krew. Uśmiecham się do siebie i patrzę na spowitą chmurami Śnieżkę. Zachodzące pomału słońce rzuca ostatnie promienie na pobliskie bloki. Z takim samym wymalowanym na twarzach zadowoleniem siedzą obok mnie lub rozciągają się na trawie moi koledzy.

Boisko przy zabobrzańskim „ślimaku”, na nim rozgrywa się opisywana scena, było areną kolejnego emocjonującego meczu. Ta wysepka zieleni, położona między asfaltowymi drogami, prowadzącymi do Wrocławia lub Legnicy, to było nasze Wembley, nasze Camp Nou. Nikt z nas wtedy jeszcze nie myślał, aby jedną z tych dróg wyjechać z Jeleniej Góry.

Nie jestem w stanie określić, czy był to rok 1994, 1995 czy może 1996. Jednak dokładne umiejscowienie tego wydarzenia na linii czasu nie jest najważniejsze. Jego moc, znaczenie, kryje się w tym, że stanowi symbol mojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Przywołane w pamięci przenosi mnie do lat 90. Dla mnie i dla wielu moich kolegów z zabobrzańskiego podwórka dzikie boisko stanowiło jedno z najważniejszych punktów na mapie naszych młodzieńczych światów. Kopaliśmy piłkę w każdej wolnej chwili. W śniegu, w błocie, w deszczu, w letnim skwarze. Wszystko inne znajdowało się gdzieś na obrzeżach: szkoła, obowiązki domowe... Piłka nożna zawładnęła naszymi sercami, myślami. Graliśmy na każdym wolnym kawałku przestrzeni wzdłuż Noskowskiego 6. Ten budynek stanowił oś naszego świata. Wokół niego jeździliśmy na pierwszych rowerach, biegaliśmy po jego piwnicach, przesiadywaliśmy na klatkach schodowych... Na przypisanych do niego ławkach, trzepakach i w piaskownicach toczyło się życie towarzyskie. Byliśmy dziećmi tego domu (Noskowskiego 6 to jeden z dwunastu „Zygmuntów Noskowskich”, bloków, które znajdują się na Zabobrze. Noskowskiego 1, 2, 3, 4, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12.... zaraz, zaraz... gdzie podział się numer pięć? Daremny będzie trud poszukiwań; nie ma numeru pięć; kiedyś, pod wpływem lektury „Władcy Pierścieni” i „Hobbita” moja pobudzona wyobraźnia stworzyła obraz, na którym jeden z bloków, przeobrażony w ogromnego smoka, pożera drugi – blok, który miał stać się numerem piątym - a następnie zastyga w wiecznym śnie i w ten sposób tworzy się długi czteropiętowiec, któremu nadano imię „sześć”).

Wspomnienie, o którym piszę, przedarło się przez pokłady mojej niepamięci pewnego pandemicznego, bezkسیężycowego wieczora roku 2020. Były to jedne z tych ciężkich godzin, gdy spętany niepokojem umysł bezskutecznie próbował uciec w jakieś kojące obszary. Nie byłem w stanie skupić się na lekturze, seriale komediowe nie bawiły, a co najgorsze, akurat nie transmitowano żadnego meczu. Aby wypełnić czymś ten dłużący się czas, postanowiłem zajrzeć do szafy. Już od pewnego czasu planowałem, po wielu latach przerwy, wyciągnąć segregatory z materiałami ze studenckich lat, przejrzeć je i przekonać się, czy, podobnie jak kiedyś, nadal są w stanie pobudzić do myślenia.

Wśród skoroszytów, zeszytów, skserowanych tekstów natrafiłem na gruby, zielony brulion. Gdy wziąłem go do ręki, wysunęło się z niego kilka wycinków prasowych: „Garbaty do historii”, „Z zimną krwią”, „Euforia i łyż”, „Znerwicowani i bez reakcji”. To nagłówki relacji z meczów. Zeszyt, który trzymałem w rękach, okazał się prowadzoną przeze mnie w latach 90. kroniką występów drużyny piłkarskiej Karkonosze Jelenia Góra. Na pierwszej stronie widnieje niedokończony herb klubu (niedokończony to za dużo powiedziane; jest to narysowany ołówkiem trójkąt, na resztę nie starczyło talentu: nigdy nie przejawiałem zdolności plastycznych, więc pewnie dlatego ów jakże ambitny projekt nigdy nie został zrealizowany). Następnie podaję kadrę zespołu i tabelę po rundzie jesiennej sezonu 1994/95.

Gęstą mgłą niepamięci spowita jest moja pierwsza obecność na meczu Karkonoszy. Gdy próbuję odtworzyć to wydarzenie, ukazuje mi się jeden przedmiot: drewniana ławka, która znajdowała się na stadionie przy ul. Podchorążych. Tam Karkonosze rozgrywały swoje mecze

jesienią 1994 roku (jeleniogórcy piłkarze po jedenastu latach, dzięki reorganizacji rozgrywek, awansowali do III ligi). Były to przymusowe przenosiny, ponieważ w tym czasie płytę klubowego boiska przy ul. Złotniczej remontowano. Być może tym pierwszym meczem był premierowy występ w III lidze (13 sierpnia, 2:2 z Lechią Zielona Góra) albo drugi w tym sezonie występ na własnym boisku (zwycięstwo 3:0 nad Krysztalem Stronie Śląskie).

Od wiosny 1995 moja kronika zaczęła zapełniać się wynikami, składami Karkonoszy, strzelcami bramek. Niekiedy decydowałem się na obszerniejszy opis boiskowych poczynąń (pisownia oryginalna): „W 10 min. Karkonosze po strzale Konona objęły prowadzenie. Mimo przewagi, gospodarze nie potrafili zdobyć bramki. Goście grali chaotycznie, ich ataki rozбивały się o obronę Karkonoszy.

Druga połowa była bardziej wyrównana. Piłkarze Promienia częściej atakowali. Karkonosze zagrały bardzo słabo. Często gubili piłki, stworzyły zaledwie jedną sytuację do zdobycia bramki. Promień atakował i w 78 min. wyrównał Zieziula” (15 kwietnia 1995, remis 1:1 z Promieniem Żary)”.  
Nasz klub grał na Złotniczej (w zastępstwie na Podchorążych), my swoje mecze rozgrywaliśmy na Zabobrze.

PIŁKA NOŻNA była naszą pasją

PIŁKI NOŻNEJ nigdy nie mieliśmy dość

PIŁCE NOŻNEJ poświęciliśmy niemal każdą wolną chwilę

PIŁKĘ NOŻNĄ kochaliśmy miłością bezgraniczną

(z) PIŁKĄ NOŻNĄ się nie rozstawaliśmy – mieliśmy ją przy nodze albo w głowie

(o) PIŁCE NOŻNEJ namiętnie dyskutowaliśmy

PIŁKO NOŻNA! .... Żyliśmy Tobą, namiętnie Cię kopaliśmy. Równocześnie kibicowaliśmy Karkonoszom. W tym czasie rozpoczęła się, pozwolę sobie na to wielkie określenie, złota era w historii naszego klubu. Zbyt patetycznie? Pewnie tak. Ale Karkonosze grały bardzo dobrze, na mecze przychodziły tłumy, a klub zyskał sponsora. W lokalnej prasie, jeszcze jesienią 1994, zaczęła pojawiać się nazwa „Karkonosze-Kem-Bud”. Kem-Bud to firma budowlana, a jej właściciel, Bogusław Kempieński, zdecydował się zainwestować w jeleniogórski klub piłkarski, zostając jego najważniejszym, głównym sponsorem.

Z tego okresu pamiętam kilku zawodników, m.in.: kapitana Artura Setę, Daniela Duraja (który, rozpędzając się, przybierał charakterystyczną, pochyloną, lekko przygarbioną sylwetkę), najlepszych strzelców: Rafała Musiała i Ernesta Konona (moim zdaniem największy talent w historii Karkonoszy); Cezarego Olbrychta (pewnie nie wszyscy kibice polskiej piłki nożnej wiedzą, że obecny komentator Canal + pochodzi z Jeleniej Góry i ma za sobą występy w Karkonoszach).

Ów pierwszy, po bardzo długiej przerwie, sezon w III lidze Karkonosze zakończyły na 6. miejscu. W klubie stawiano sobie ambitne cele, więc postanowiono zatrudnić doświadczonego szkoleniowca. Trenerem Karkonoszy-Kem-Budu (pod taką nazwą występowali już oficjalnie jeleniogórcy piłkarze) został Jerzy Fiutowski, jeden z najbardziej utytułowanych trenerów na Dolnym Śląsku, którego nazwisko było znane w całej Polsce (w 1992 zdobył z drugoligową Miedzią Legnica Puchar Polski).

Pod koniec 1995 r. nad Karkonoszami zawisło widmo likwidacji. Ostatecznie podjęto decyzję o likwidacji wielosekcyjnego klubu i utworzenie nowych klubów jednosekcyjnych. Karkonosze zniknęły z tabel ligowych. W styczniu 1996 zarejestrowano stowarzyszenie pod nazwą Miejski Klub Sportowy Kem-Bud. Jego prezesem został Bogusław Kempieński. Dla nas, zagorzałych fanów, Karkonosze, mimo oficjalnej zmiany nazwy, pozostały Karkonoszami. „Karkonosze” wykrzykiwaliśmy i wyśpiewywaliśmy podczas meczów.

Na koniec drugiego sezonu nasi ulubieńcy uplasowali się na 5. miejscu. Przed kolejnym zapowiadano walkę o awans do II ligi. Zapowiedzi działaczy nie były gołosłowne. W drużynie pojawili się nowi zawodnicy: Marek Chojnacki (ówczesny rekordzista Polski pod względem występów w ekstraklasie), Andrzej Słowakiewicz (mający na swoim koncie zdobycie Pucharu

Polski z Lechem Poznań i występy w I lidze), powrócił Rafał Musiał. Argumentem, który z pewnością zachęcał zawodników do przeprowadzki pod Karkonosze były... mieszkania (prezes Kempiański miał ich pod dostatkiem). Drużyna szybko potwierdziła swoje aspiracje i doskonale odnalazła się w roli jednego z faworytów. Wygrała sześć pierwszych meczów z rzędu, a rundę zakończyła na pierwszym miejscu z przewagą aż 13. punktów nad drugą w tabeli Pogonią Świebodzin. Wiosną 1997 w składzie pojawili się nowi zawodnicy, wśród nich m.in. Waldemar Tęsiorowski (przez wiele lat występował w Śląsku Wrocław, z którym zdobył Puchar Polski; kilkadziesiąt razy wybiegał na pierwszoligowe boiska) i Sebastian Gorząd (podbił serca jeleniogórskiej publiczności szybkimi rajdami i walecznością). Karkonosze od początku rundy wiosennej prezentowały się znakomicie. W pierwszych 8. meczach podopieczni J. Fiutowskiego nie stracili bramki.

Mniej więcej w tym czasie na naszym osiedlowym boisku doszło do niezwykłego zdarzenia. Tym razem nie chodziło o jakiś nasz wyczyn piłkarski. Dokonał się na nim akt niemal artystyczny: powstała (pod kierunkiem jednego z moich utalentowanych plastycznie przyjaciół) flaga Karkonoszy, którą niebawem regularnie zawieszaliśmy na płocie stadionu przy Złotniczej. Chodziliśmy na mecze w grupie kilku, kilkunastu osób. Z Zabobrza przez ul. Wiejską, później skrótem przez garbaty mostek nad Bobrem i ścieżką wiodącą przez łąkę, która po opadach deszczu zamieniała się w grząskie, błotniste bagno, docieraliśmy na ulicę Powstańców Śląskich, przylegającą do stadionu.

Wspominając nasze wyjścia na mecze, uświadamiam sobie, że poza wakacyjnymi, feryjnymi wyjazdami, sporadycznie przekraczałem granice Zabobrza. Do centrum wybierałem się z rodzicami okazjonalnie, na zakupy, w Cieplicach byłem kilka razy... nie odczuwałem potrzeby opuszczania Zabobrza. Wszystko, co było dla mnie najważniejsze, z wyboru i narzucone, znajdowało się tutaj. Szkoła (gdzie uczęszczałem do szkoły podstawowej), przychodnia, oczywiście boiska i place gry, do tego bliskość lasu... Teraz, w dorosłym życiu, jest podobnie. Jestem wierny zlokalizowanej od lat w tym samym miejscu przychodni, gdyby nie praca, w centrum miasta pojawiałbym się sporadycznie, a w Cieplicach bywam jeszcze rzadziej niż kiedyś... Są chwile, w których myślę o sobie: „zaborzanin”. W tej przestrzeni się wychowałem, dorastałem, mieszkam do dziś. Kiedyś słowo „Jelenia Góra” nie było wypełnione konkretną treścią, chyba wtedy byłem bardziej „zabobrzaninem” niż „jeleniogórczaninem”. Nie był to wybór świadomy, dojrzała decyzja, tylko stan wynikający z tego, że świat mojej aktywności ograniczał się do tej dzielnicy. Większość rodziców moich kolegów i w ogóle mieszkańców Zabobrza ma korzenie sięgające poza Jelenią Górę.

Przy stadionowej bramie, znajdującej się tuż obok wejścia do hali sportowej, spotykaliśmy się z innymi szalikowcami, którzy pojedynczo lub grupkami nadciągali z różnych stron miasta. Gdy nasza gromada osiągnęła liczebność gwarantującą, że podczas zajmowania miejsc w sektorze zostanie zauważona przez kibiców zgromadzonych już na stadionie, wchodziliśmy.

Z czasem głośnym i żywiołowym dopingiem zapracowaliśmy sobie na darmowe wejścia na mecze. Nasz kibicowski repertuar był różnorodny. Z perspektywy czasu widzę, a raczej słyszę, że część z przyśpiewek była żenująca, chamska. Poza tradycyjnymi, obrażającymi rywali, sędziów (łącznie z ich rodzinami), niektóre odnosiły się do losu Żydów, do Hitlera... Tych drugich nie było wiele, może dwie, ale bez względu na to, ile ich było i jak często je śpiewaliśmy, są dowodem, jak łatwo można popaść w bezrefleksyjność, jak łatwo ulec emocjom i dla poczucia przynależności do wspólnoty, wykrzykiwać głupoty. Liczyła się nasza grupa. Łączyło nas przywiązanie do klubu i przekonanie, że jesteśmy częścią czegoś większego, że to, co robimy ma jakieś znaczenie.

W tym czasie dużo czytałem, ale nie książek tylko prasy, a w tej prasie niemal tylko i wyłącznie artykuły poświęcone piłce nożnej. „Słowo Sportowe”, strony sportowe w „Gazecie Robotniczej”, „Nowinach Jeleniogórskich”. Przez kilka lat, każdego tygodnia (bodajże w środy), kupowałem tygodnik „Piłka Nożna”. Gazetę dla mnie kultową. Odczuwałem niemal dumę, gdy pojawiały się w niej pierwsze wzmianki o Karkonoszach i później, gdy na jej łamach wychwalano postawę w II lidze jeleniogórskiego beniaminka.

W końcu nadeszła tak długo oczekiwana chwila - mecz, w którym zwycięstwo zapewni Karkonoszom awans do II ligi. 11 maja 1997 r. jeleniogórzanie zmierzyli się ze Ślązą Wrocław. Doskonała forma zawodników sprawiła, że chyba wszyscy byli pewni sukcesu. W zwycięstwo nie wątpili działacze i właściciel, którzy przygotowali, spodziewając się okazji do świętowania, kilka atrakcji: pokaz skoków spadochronowych, występ kapeli podwórkowej, po meczu pojawiła się beczka piwa. Tego pięknego, słonecznego dnia piłkarze nie zawiedli swoich licznie zgromadzonych fanów (na stadionie pojawiło się ponad 2 tysiące kibiców). Dwie bramki zdobyte przez Jana Wronę przypieczętowały sukces. Tej majowej niedzieli wydarzyło się coś wyjątkowego, coś co zapisało się w historii jeleniogórskiego sportu. Po raz pierwszy piłkarze z naszego miasta wywalczyli awans do II ligi. Burza oklasków, wiwaty, okrzyki, śpiewy, eksplozja czystej radości.

W tym historycznym meczu Karkonosze zagrały w następującym składzie: Marek Przykłota (podstawowym bramkarzem, który wystąpił w większości meczów tego sezonu był Krzysztof Koszarki), Waldemar Tęśiorowski, Andrzej Słowakiewicz, Rafał Hubscher, Andrzej Hebda, Grzegorz Murat, Artur Seta (kapitan), Marek Dąbrowski (w 69 minucie zastąpił go na boisku Robert Jończy), Arkadiusz Nowomiejski (od 62 min Dominik Szostak), Tomasz Lizak (od 81 min Mariusz Urbaniak), Jan Wrona.

Po historycznym awansie przyszedł czas na historyczną inaugurację. Już na kilkadziesiąt minut przed pierwszym gwizdkiem w okolicach stadionu zaczęły pojawiać się grupy kibiców. Ale nie tylko fani Karkonoszy, piłki nożnej, tego dnia postanowili obejrzeć debiut jeleniogórskiej drużyny w II lidze. Wśród tłumów, które ciągnęły na stadion ze wszystkich stron miasta, były osoby na co dzień nie interesujące się futbolem, mało tego, to miał być ich pierwszy obejrzały na żywo mecz. Kobiety, dzieci, całe rodziny postanowiły spędzić wspólnie niedzielne popołudnie właśnie na trybunach. Przed kasami tworzyły się długie kolejki, ale nie było w nich nerwowości, wyczuwało się raczej atmosferę podekscytowania, oczekiwania. Nie mogliśmy już doczekać się rozpoczęcia meczu.

Kolejny raz ważny mecz przy ul. Żłotniczej rozgrywano przy pięknej pogodzie. Wszystko tego dnia sprzyjało Karkonoszom i kibicom „biało-niebieskich” (określenie pochodzi od barw klubowych; dlatego też jeleniogórzscy piłkarze najczęściej występowali w białych koszulkach i niebieskich spodenkach). Nasi ulubieńcy rozpoczęli przygodę z II ligą efektownie. Po pół godziny gry na rajd prawą stroną boiska zdecydował się Andrzej Słowakiewicz (ten obrońca zaskarbił sobie sympatię kibiców właśnie takimi dynamicznymi rajdami i wejściami w pole karne rywali). Przedostał się w pobliże bramki Lechii, dośrodkował i.... stadion eksplodował! Dobrze ustawiony Dariusz Garbaty pokonał bramkarza gości! Jak się później okazało, była to jedyna bramka, jaką tego dnia obejrzelśmy na stadionie, druga połowa meczu nie była tak emocjonująca. Jednak dla nas nie miało to znaczenia. Wygraliśmy!

W kolejnych spotkaniach jeleniogórzanie prezentowali się bardzo dobrze. W pewnym momencie okrzyknięto ich „pogromcami liderów” (a to dzięki zwycięstwom nad drużynami, które przed meczami z Karkonoszami zajmowały pierwsze miejsce w tabeli). Dobra postawa pozwoliła im na chwilę wdrapać się na drugą pozycję w lidze. Ostatecznie rewelacyjny beniaminek zakończył rundę na 7. miejscu. Mimo sukcesów na boisku, klub nadal borykał się z problemami organizacyjnymi i finansowymi. Głośniej lub ciszej oskarżano władze miejskie o brak dobrej woli w temacie udzielenia pomocy drużynie. Krążyły plotki o uczynieniu z klubu przedmiotu targów politycznych. Ostatecznie Karkonosze zajęły na koniec rozgrywek 10. miejsce.

Dalsze losy klubu to desperacka próba uratowania drugoligowego bytu. Problemy, które pojawiły się już wcześniej, teraz rozrosły się do olbrzymich rozmiarów i zagroziły istnieniu drużyny. Nie było wiadomo, czy klub wystartuje w nowym sezonie, a gdy już wystartował, nie było pewności, czy kolejny mecz, o ile w ogóle do niego dojdzie, nie będzie tym ostatnim.

Przeglądając mój zielony zeszyt dostrzegam, że w pewnym momencie, po rozpoczęciu drugiego sezonu (w 1998 roku), coraz mniej przykładam się do dokumentowania występów Karkonoszy. Już tylko wklejałem wycinki prasowe albo jedynie wkładałem je między kartki, nie wysilając się nawet na użycie kleju. Moja kronika Karkonoszy urywa się ostatecznie po pierwszej

rundzie. Kilka miesięcy później klub spadł z II ligi i rozpoczęła się jego degrengolada. Nie pojawiałem się już na trybunach stadionu. Ktoś może mi zarzucić, że przestałem chodzić na mecze, kibicować, gdy tylko Karkonosze zaczęły upadać, że porzuciłem klub w trudnych chwilach.... Być może. Jednak pamiętam, że ten upadek klubu bardzo mnie zabolął. Momentami byłem wściekły, że nikt temu nie zapobiegł, że pozwolono na to, aby drużyna, która łączyła jeleniogórczan, która sprawiała, że byliśmy dumni, że mieszkamy w Jeleniej Górze i dzięki której nazwa miasta pojawiała się w mediach ogólnopolskich, po prostu przestała istnieć.

Zamykam zielony zeszyt, ale nie odkładam go z powrotem do szafy. Zajmie miejsce na jednej z półek, wśród książek. Będę miał go zawsze pod ręką i za każdym razem, gdy go otworzę, przywołam swoje dzieciństwo, swoją młodość. Przeniosę się na boisko, które już nie istnieje. Miejsce roześmianych, zdyszanych chłopców zajęły nieruchome, posadzone jakby przypadkiem i od niechcenia, choinki. Bramki już dawno zdemontowano. Pustkę, która pojawiła się po naszym odejściu w dorosłość, zapchano karłowatymi drzewkami. Ale gdy obejrzę się wstecz, nie obejmie mnie zięjąca pustka, tylko ciepłe wspomnienie dobrego czasu, czasu spędzonego między blokami i na skrawkach tętniącej życiem zieleni.